1891. XVI. 45.
185

№ 1. Czwartek, dnia 6 Stycznia. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 25 Grudnia (6 Stycznia)
1875/6 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

866
III/a

PRZY OGNISKU.

(SCENA Z POEMATU „KRAKUS")

PRZEZ

Deotymę.



(Pod Wawelem, w domu Krakusa, jednego z dwunastu wojewodów, ówczesnych rządców kraju.—Scena wyobraża dużą świetlicę. Na wielkim kominie ogień, przy którym gotuje się wieczerza. W koło komina, młodziuchne dziewczątka siedzą; jedne plotą wieńce, inne na nici nižą korale i bursztyny. Jest ich pięć: Tomiła, Bożenna, Czesława, Płomniewa i Wanda, piętnastoletnia córka wojewody Krakusa.)

TOMIŁA.

Nie powracają dziś długo ojcowie.

WANDA *wstaje i zbliża się do kociołków.*

Już nad polewką trzeba czuwać bacznie.

CZESŁAWA.

Oho! Nie prędko się o nich kto dowie.
Szedł z niemi gęślarz; jak on śpiewać zacznie,
To się pod dębem do białego rana
Gdzie zasłuchają...

PŁOMNIEWA.

Nie, moja kochana,
Gęślarz najlepiej po wieczerzy śpiewa.
(Śmiech między dziewczętami.)

WANDA.

Nie śmiej się z pieśni... Dziwna z ciebie dziewa.
Już ja wiem czemu dziś ich dobra wola
Nie wracać. Ojciec pokazuje pola
Tym gospodarzom, którzy przyjechali
Z nad Nidy.

CZESŁAWA.

Po co? Czy jadą gdzie dalej?

WANDA.

Chcą widzieć jak tu ziemia uprawiona.
U mego ojca jest sławna uprawa;
Chcą mieć od niego najlepsze nasiona.

BOŻENNA.

Z nad Nidy, mówisz? Jakam ja ciekawa
Tej rzeki! Tyle słyszałam o Nidzie.
Tak, mówią, czysto i tak cicho idzie,
Że choć do wody koralik ci wpadnie,
To go odnajdziesz.

TOMIŁA.

A możebyś na dnie,
Dojrzała ową Nidę długowłosą,
O której piosnki tyle smutku niosą?

WANDA.

Jakaż to Nida?

TOMIŁA.

I ty nie wiesz o niej?

PŁOMNIEWA.

Ty, co wiesz wszystko? Ty co jak na dłoni
Z run umiesz czytać?

WANDA.

Otóż i żart nowy!
Ja z was najmłodsza, cóż ja wiedzieć mogę?

BOŻENNA.

Wszak starcy z tobą prowadzą rozmowy?

Czasop. 1031

Płomniewa.

I własnym braciom dasz nieraz przestrogę!

Wanda.

Już mniejsza o mnie... Ty, dobra Tomiło,
Powiedz nam lepiej, jak to z Nidą było?

Tomiła.

Oj! Dziwiono się tej Nidzie!
Gdy dzban niosła ciemnym lasem,
Ludziom się zdawało czasem,
Że boginka rzeki idzie.

Miała Nida brwi sobole,
Miała kosy po kolana.
Nie tańczyła w dziewczem kole,
W lesie nikła zadumana.

Chłopcy chodzą jakby struci.
Ile razy dzień się mroczy,
Pod okienkiem jej ktoś nuci:
« Choć raz na mnie zwróć-że oczy! »

« Cóż me oczy wam pomogą,
« Póki serce nie łaskawsze?
« Lecz niech raz pokocham kogo,
« To pokocham już na zawsze. »

Rządził wówczas naszym krajem
Lud najezdny, lud niedobry,
Który dziwnym obyczajem
Nosił warkocz...

Wanda.

Aha! Obry.

Tomiła.

Obr, niby Olbrzyma znaczy.
Owóż, jeden z tych siłaczy,
Nad ogromnych skał rozłomem
Wybudował straszne mury,
Zamek nad zamkami, który
Dziś się jeszcze zwie Olbromem.

Ów pan zamku żył bez troski,
Miał bór czarny, wielkie niwy,
I poddanych całe wioski.
Sławny z niego był myśliwy.

Nieraz chodził tam z kołczanem,
Gdzie chodziła Nida z dzbanem.

Są dwa brzegi u rzeczułki.
Zbiegły się dwie krople rosy.
Głaszczą wodę dwie jaskółki.
Zrozumiały się dwa głosy.

Są szczęśliwi! Tak szczęśliwi,
Że aż słowik im się dziwi.

Ale szczęście, to kruk biały.
Nie powstrzymasz w locie ptaka.
Przyszła rozpacz. Rozpacz taka,
Że kaliny pobledniały.

Nido! Los twój jak na dłoni.
Po co serce mieć łaskawsze?
Pokochałaś go na zawsze,
A on już za inną goni.

Nikła... czoło pochylała...
Włos puściła na ramiona...
Wciąż nad rzeką siedzi biała,
Jak z kamienia utoczona.

Dnie przechodzą, noce idą,
I tak mogła siedzieć wieki,
Lecz rzuciła się do rzeki,
I rzeka stała się Nidą.

Bożenna.

Ach, smutna powieść!

Czesława.

Każda śmierć niemiła,
Ależ ta! Żywcem we łzach utopiona!
Aż zimno wspomnieć...

Płomniewa.

Mnie naprawdę ona
Łzy wycisnęła.

Wanda, *odrzucając kwiaty.*

A mnie oburzyła!

Czesława.

I ja na niego oburzam się szczerze.

Wanda.

Ha! czemuż serce oddawać obcemu?

Bożenna.

I ona pewnie pytała się « czemu? »
Ale po czasie!

Wanda.

W życiu, zawsze czas!
Kto strzeże serca, zawsze go ustrzeże.

Płomniewa.

Oj, teraz widzę żeś najmłodsza z nas.

Czesława.

Co tylko dla mnie jest dziwem nad dziwy,
To, jak ta Nida z rzewnemi oczyma,
Mogła pokochać takiego olbrzyma,
Jeszcze z warkoczem? Musiał być straszliwy.

Płomniewa.

Twój przyszły będzie wyglądał inaczej?

Czesława.

Oho! Zobaczy, ten co go zobaczy!
Dla mnie jedno, swój czy obcy,
Byle śpiewał jak ja każę.
Chłopiec będzie to nad chłopcy,
Figlarz nad figlarze!

Liczko jego, to krew z mlekiem,
Jasne oko istnem słonkiem.
On będzie na wpół człowiekiem,
A na wpół skowronkiem.

Oj! czupurny ze wszystkiemi,
Ale ze mną jak owieczka,
Podkówką nie tyka ziemi,
Na bakier czapeczka.

Rano pierwszy już nad pracą,
Z tańca ostatni wychodzi,
Wszyscy za nim głowę tracą,
I starzy i młodzi.

Oj! w tym tańcu dziewki zbledną,
Zawiść serca im pokole.
Będzie tańczył zawsze z jedną,
Z inną,—nie pozwolę.

Co ja zechcę, wnet przyniesie.
Kwiatu którym paproć kwitnie?
Pójdzie i wyszuka w lesie.
Serca? Z piersi wytnie.

Gwiazdki z nieba? Zaraz poda.
A to z jakiemi oczyma!

Cudny chłopiec! Tylko szkoda
Że go nigdzie niema.

PŁOMNIEWA.

Nie bój się, znajdziesz. O takich nietrudno,
Z jagodą krasną, pokorą obłudną.
On szczęścia, wieczną wesołością swoją
Nie da ci. Szczęście lubi żyć w ukryciu,
Marzyć i milczeć. Jest wiele chwil w życiu,
Którym łzy lepiej od śmiechu przystoją.

CZESŁAWA.

Jakiż więc ma być według twojej rady?
Jak śmierć ponury? Jak sam Kościej blady?

PŁOMNIEWA.

Tak. Musi mieć blade lica.
Cichy, zimny jakby skała.
Życie tylko w oczach pała,
Jak z chmur migą błyskawica.

Kiedy spojrzy, dzień się mroczy...
Gdy w las idzie, szepcą drzewa...
Gdy w jaskini zamknie oczy,
Duch gór mu o skarbach śpiewa.

Nad potokiem siadł w obłoku.
Wije się doliną droga.
Podróżny przyspiesza kroku,
Jakby ujrzał Czarnoboga.

Nad ramieniem łuk mu sterczy.
Sępy z nieba strzałą strąca.
Gniew u niego? To morderczy.
Miłość? To piorunująca.

TOMIŁA.

Straszna miłość...

PŁOMNIEWA.

Straszna? Zgoda,
Lecz pyszna jak burza w niebie.
Komu szczęsno już bez ciebie,
Cóż twa miłość szczęścia doda?

Ah, smutnemu dać nadzieję,—
Wierzyć, że mu się zaśmieje
Ze mną pierwszy dzień pociechy,—
Widzieć, że moje uśmiechy,

Moje! mogą rozwiać tyle
Chmur i gromów,—o zachwycie!
Warto oddać całe życie,
By dać jemu szczęścia chwilę!

CZESŁAWA.

Bardzo wygląda mi twój zachmurzeniec
Na rozbójnika...

BOŻENNA.

Oho! Ten rumieniec?...

PŁOMNIEWA.

Ja nie spotkałam go jeszcze na świecie.
Lecz jeśli spotkam, wam, co się śmiejecie,
Serce z zazdrości będzie zamierało.

BOŻENNA.

Ja, to nie pójdę jak za królewicza.

CZESŁAWA.

Patrzcie ją!

BOŻENNA.

Kiedy marzyć, to już śmiało.

Będzie jak słońce z oblicza.
Na ramieniu ma sokoła,
Złote u konia podkowy,
U pasa róg koralowy,
Obręcz z brylantów u czoła.

Wyjechał królewicz z boru,
Spotyka dziewcze zlęknione.
Spodobał je, wziął za żonę,
I pojechali do dworu.

Stary król wziął się za głowę,
Pełen do syna urazy.
Ale gdy ujrzał synowę,
Uściskał ją aż trzy razy.

Na miejscu zmarłej królowej
Posadził ją przy biesiadzie,
I na jej warkocz wioskowy
Własną koronę swą kładzie.

TOMIŁA.

Prześliczna powieść, lecz jak baśń się plecie.

CZESŁAWA.

Ah, to smutno. Czemuż w baśni
Zawsze jaśniej, zawsze kraśniej,
Niż na naszym nudnym świecie?

PŁOMNIEWA.

Jeśli my śnimy królów i bogaczy,
Jakież dopiero dziwo się ukaże,
Gdy dumna Wanda powiedzieć co raczy?

CZESŁAWA.

Wojewodziance, to chyba cesarze
Jacyś zamorscy przyśniwać się mogą.

TOMIŁA.

Mów, kogóż sobie wybrałaś?

WANDA.

Nikogo.

PŁOMNIEWA.

Nie wierzę.

CZESŁAWA.

Pomysł jest nowy zaiste.

PŁOMNIEWA.

Czy ci się żadne widzenie przejrzyste,
Z hełmem lub wieńcem, z uśmiechem na twarzy,
Nie objawiało w tej szarej godzinie,
Gdy się tak marzy?

WANDA.

Mnie się tak nie marzy.

BOŻENNA.

Już w nas nie wmawiaj. Któż wierzy dziewczynie,
Aby i marzyć nie miała?
Choćby najprostsza, o przyszłości swojej
Jakąś powiastkę czarodziejską roi.
Cóż twojem rojeniem?

WANDA.

Chwała.

WSZYSTKIE, *zrywając się.*

Chwała?

BOŻENNA.

Przez bogi! Mów ciszej...

PŁOMNIEWA.

Zkąd jej chwała?

CZESŁAWA.

To szczęśliwie,
Że ze starszych nikt nie słyszy.

Płomniewa.

Wando... ja się tobie dziwię.
Wchodzisz na spadzistą drogę.
Słuchaj tych co cię ostrzegą...

Wanda.

Ale pojąć was nie mogę.
Cóżem rzekła tak strasznego?

Płomniewa *z politowaniem.*

Ktoż miał prawdę mówić tobie?
Ciebie jeszcze spowijano,
Już matka leżała w grobie.
Mnie matka wieczór i rano
Powtarza, jak białogłowa
Winna kochać swe ukrycie.
Im głośniejsza o niej mowa,
Tem cięższe jej ciężkie życie.

Bożenna.

Wierz mi, zawiedzie się krwawo,
Kto chce szczęście zdobyć sławą.

Płomniewa.

Cóż ci marny oklask zyska,
Gdy płomienie u ogniska
Domowego ci pobledną?

Wanda.

Wyście mnie nie zrozumiały.
Ja mówię że pragnę chwały,
Nie sławy.

Czesława.

Czyż to nie jedno?

Wanda *wstaje.*

Chwała, to brzmienie własną siłą trwałe.
Sława, to echo co żyje z odbicia.
Można u wieków zdobyć sobie chwałę,
A sławy nie znać za życia.
Czcza sława, nawet zawiści nie budzi.
Chwałę poznacie po tłumie jej wrogów.
Sława, o siostry! przychodzi od ludzi,
A chwała idzie od bogów.

Gęślarz, *który od kilku chwil wszedł, i niepostrzeżony zatrzymał się na progu, występuje na środek.*

Tak, bogi w usta te słowa ci dały.
Dziewko! ty miałaś objawienie chwały.
Ja wieszcz, ja widzę, jak na twoim grobie,
Jeszcze w sto wiosen, w tysiąc wiosen jeszcze,
Będzie lud płakał, będą śpiewać wieszcze.
Wando! Ja chwałę przepowiadam tobie!

Płomniewa, *przystępuje do Wandy i mówi półgłosem:*

A ja ci powiem prawdziwiej choć prościej:
Dziś moje słowo zgrozą ci się wyda:
Będziesz ty jeszcze kochać się jak Nida!
Obyś nie chciała topić się z miłości!...

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO.

I.

Domowe ognisko!! jakże wiele mówią te dwa wyrazy, jak one sięgają daleko w przeszłość i głęboko w życie!

U domowego to ogniska rośnie i kształci się ta jednostka, która społeczność składa i od której wartości i charakteru zależy charakter społeczeństwa. W dawnych, dawnych wiekach, ognisko domowe było niemal świętem, nigdy ono nie wygasało i ognia zeń nie udzielano obcym, lękając się aby ubytek jego nie dał się uczuć domowi. U tego prostego, kamieniami otoczonego ogniska zbierała się rodzina, przy niem pędziła godziny pracy i spoczynku; ono stanowiło najgłówniejszą domu część, środkową—zajmując w głównej izbie, świetlicy, miejsce gdzie gospodyni przygotowywała strawę dzienną, około którego siadały prządki z pieśnią, staruszki z powieścią o dawnych czasach, dzieci z nienasyconą ciekawością. W tej samej jedynej izbie pierwotnej stawały i żarna co mąkę przygotowywały, i krosna na których tkano płótno, i dzieża-matka, dająca chleb powszedni, i stół pokryty ręcznikiem szytym, na którym leżał zawsze chleb, na przyjęcie gościa i ubogiego. Tak było w owych czasach pierwotnych, gdy człowiek ograniczał się w życiu zaspokojeniem pierwszych swych potrzeb, i z tamtych to czasów patryarchalnego żywota pozostało nazwanie domowego ogniska, które się stało symbolem rodzinnego życia, związku miłości i poszanowania, pierwszej więzi całego społeczeństwa. Późniejszemu wychowaniu i światu, obcowaniu z ludźmi, wiele zapewne winien jest człowiek, ale to co wynosi z pod strzechy domowej i ogniska domowego, stanowi nawet w stosunku do ludzi i świata, tę « siłę rzutu », która pierwsza w ruch go wprawia i nadaje kierunek.

Jak rozżarzony węgiel z tego Znicza, wynosi ów najdroższy dar, któremu ludzkość winna całe swe rozwinięcie—tradycyę, podanie, ideę będącą wyrobem narodu i plemienia, rodu do którego należy. Spotykamy się teraz nieustannie z lekkomyślnem szacowaniem tradycyi, z wypieraniem się przeszłości we wszystkich sferach pojęć, z zarozumiałem pragnieniem wyrobienia zupełnie nowego życia, na całkiem nowych podstawach... Ktokolwiek zastanowi się nad tem, z politowaniem uśmiechnąć się musi nad dziecinnem zuchwalstwem ludzi, którzy język jakim mówią, myśli jakie mają, wszystko czem są, co umieją, środki domowe jakiemi się posługują,—winni są tym tradycyom, które by burzyć radzi i wywracać.

Ile razy w dziejach zrywa się wątek podań i przechodzenie do następnych pokoleń skarbu pracy poprzedników—tylekroć ludzkość musi rozpoczynać od początku trud, zwracać się do stanu barbarzyństwa i długiemi pokoleniami dorabiać na nowo utraconego dziedzictwa.

Dla tego w ludzkości, w narodzie, w rodzinie, w domu, nic droższego nad tradycye przeszłości... Bez nich niema postępu, bo one są jego narzędziem. Wprawdzie z nich przechodzi się do nowych prawd, na drogi nowe i dalsze, ale bez nich—musielibyśmy, zamiast iść dalej—do kolebki powrócić.

Witajmy więc z pociechą Ognisko Domowe nasze, rozpalone pracowitemi i czystemi rękami, abyśmy się przy niem gromadzić mogli. Zobaczym, że ono samo nauczy nas najważniejszych prawd, z jakiemi bezpiecznie, gdy przyjdzie je opuścić, w świat będziemy mogli wędrować. Około niego skupia się cała gromadka dla pracy...

Pierwszą ideą jaką ono nam przynosi, jest obowiązek, świętość, potrzeba i rozkosz pracy. Ta stałaby się niemożliwą przy ogniu domowym, gdybyśmy przy nim nie zasiedli w miłości i zgodzie, tak, byśmy sobie byli pomocą, nie przeszkodą.

Promienieją więc już z ogniska tego dwie wiel-

kie życia prawdy: obowiązek pracy, potrzeba zgody i ładu...

Zgodę rodzi tylko miłość, a ta zawiera w sobie razem poszanowanie, karność i—chętną ofiarę z siebie dla drugich...

Płynie więc ztąd i obowiązek ofiary, ta wielka życia tajemnica,—bez której niema społeczeństwa.. Wszyscy dla jednego, każda jednostka musi się poświęcić dla wszystkich...

Patrząc na kółko otaczające ów domowy Znicz, musimy mimowolnie wyczerpać z niego te pierwsze zasadnicze pojęcia przyszłej nauki życia.. U ogniska tego dawniej, w pewnych godzinach gromadziła się nietylko rodzina sama, ale, część jej niemal stanowiący, domownicy, których u Rzymian za „familią" rachowano. I z tego płynęła nauka równości ludzi wobec pracy, obowiązku i słowa nauki chrześciańskiej. Ubogie sierotki miały tu także miejsce swoje, mieli je słudzy, miał obcy przychodzień, ten zesłaniec Boży, z którym się chętnie dzielono chlebem, ciepłem słowem i sercem.

Gdziekolwiek zgasło domowe ognisko, skutkiem zmienionego obyczaju, wpływu wojen, nieładu i zewnętrznych okoliczności; gdzie pękł ten węzeł co łączył rodzinę a rodziny mnogie wiązał w jedno ciało i ciała odrębne jednoczył w całość społeczną—najsmutniejsze zawsze rosły ztąd skutki. Było to początkiem rozkładu, zgnilizny moralnej i upadku.

Nie chcielibyśmy źle mówić o nikim, ale tej nadzwyczajnej ilości występków, tego rozprzężenia społecznego jakie dziś widzimy w Niemczech, nie możemy przypisać czemu innemu jak wygaśnięciu domowego ogniska.— Zastąpiło je niezdrowe owe światło i ciepło płynące z miejsc publicznych, gospód, w których Niemcy tak sobie upodobali. Tu najprzód uczucie miłości i poszanowania ginie i zaciera się, spotykają się obcy ludzie, którym głównie chodzi o zachowanie swej godności i obronę swojego stanowiska. Rodzi się zaraz pewna szorstkość w obejściu, podejrzliwość i skłonność do okazywania się czemś innem a większem niż się jest w istocie. Gospoda, w której przeróżne stykają się z sobą żywioły—działa na młodych szczególniej zgubnie. Powoli wraca się do tego stanu przedhistorycznego—walki o byt, który właśnie społeczność chrześciańska znieść usiłowała.

W istocie była, a dla zwierząt istnieje ciągle ta epoka —walki o byt—którą nowi filozofowie chcieli uczynić stanem normalnym człowieka;—ale biada społeczności, która pojedyńczych członków swoich zmusza do wojowania samopas o utrzymanie egzystencyi. Właśnie z idei społeczeństwa chrześciańskiego płynęło to, że człowiek—istota wyższa — miał stanąć ponad tą nędzną koniecznością walczenia dla bytu.. Braterstwo i solidarność, na miłości oparta, społeczności Chrystusowej, czyniła walkę o byt zbyteczną, nie znosząc ani obowiązku pracy, ani potrzeby samoistnego władania sobą. W tak zwanej walce o byt która się odbywa w naturze—stosunek jednostek jest nieprzyjazny: jastrząb ma prawo zabijać wróbla, gdy chce jeść—człowiek zaś będąc nawet głodnym, znał tylko prawo dzielenia się z bliźnim ostatnim chleba kawałkiem...

Na takiem idealnem stanowisku stała społeczność aż do dni dzisiejszych, gdy jej powiedziano—że prawo bytu i siły góruje nad wszystkiem i że —„*helf your self*" sam sobie pomagaj, zawiera całą życia naukę. Pomagaj samemu sobie, to jest nie rachuj na nic, na nikogo, ani na Opatrzność, ani na braci,—a nawzajem nie posiłkuj ty też nikomu, niech każdy sam troszczy się o siebie. Nie można zaprzeczyć, że dobrze zrozumiane prawidło „samopomocy" jest wielce szacownem; lecz podniesione do absolutnego znaczenia prawa powszechnego, burzy ono całą moralność chrześciańską. Społeczność Chrystusowa w pierwszych wiekach była tak spójna, tak serdecznie braterska, iż tam wszyscy sobie wspólnie dopomagali... choć nie byli do tego zmuszani niczem innem, tylko— miłością bliźniego.

Ta miłość płynęła nie z zimnych prawideł dających jej miarę i wagę—szła z serca i nie znała granic... Mógł jej ktoś nadużyć, nie zrażało to kochającego, czyniło występnym tego co się dopuszczał nadużycia.

Przypatrując się dzisiejszej Europie zachodniej i środkowej, zostającej pod mniej więcej wielkim wpływem tych nowych zasad egoizmu, zrodzonego w XVIII w. a wypielęgnowanego umiejętnie i wyrozumowanego naukowo w XIX, widzimy jeden uderzający fakt. Rozprzężenie. Niema prawie rodziny, niema ogniska, a wcześnie bardzo emancypujące się jednostki idą każda swoją drogą, i w pierwszej chwili zwątpienia rzucają się albo na zakazane ścieżki i manowce, lub, jak do ostatniej deski wybawienia, do—samobójstwa.

Nigdy większej stosunkowo liczby samobójstw i występków nie było w klassach ucywilizowanych jak teraz, bo nigdy jednostka tak absolutnie nie wyzwalała się ze wszystkich krępujących ją (opiekuńczo) węzłów obowiązku, religii i miłości. Każdy pragnie używać co rychlej, co najwięcej, a gdy celu odrazu nie dopnie, woli kończyć nędznie, niż uczciwie na nowo drogę rozpoczynać w trudzie a wytrwaniu...

Skreślić obraz dzisiejszych stosunków moralnych europejskich społeczeństw byłoby trudno, nie będąc posądzonym o pessymizm i tendencyjność niezdrową. Jednakże, czemu należy przyznać katastrofę Francyi, która osłabiła naród, zachwiała moralnością i sprowadziła upadek, jeśli nie tym samym przyczynom rozprzęgającym, które rodzinę i domowe ognisko obaliły?... W Niemczech po r. 1871, po największych tryumfach i najświetniejszych nadziejach, co dzisiaj sprowadza przesilenie, osłabienie, niepokój i ruiny?—oto wyrzeczenie się wszelkiej wiary w zasady i zerwanie ze zdrowemi tradycyami przeszłości...

Tak pięknie brzmią idee nowe, tak jasno wyglądają nowe drogi—tak nadewszystko dogodnem się zdaje iść sobie samemu o swej sile, za fantazyą własną—iż wszyscy się rzucili ochoczo, na oślep, za prądem który unosił. Widzimy skutki.

Nie należy wyciągać z tego cośmy mówili fałszywego wniosku, że ludzkość może lub powinna zwrócić się w tył i stać w miejscu. W dziejach świata widzimy, że nic nie powraca i nic nie może trwać niezmiennem. Wszystko idzie, udoskonala się, poprawia, przerabia, niekiedy nawet drogą upadku dążąc do postępu. To prawda, ale pochód ludzkości normalnym być musi a nie bezładnym, gorączkowym i gwałtownym. Gdy się nim staje, jest chorobliwym tylko. Jakkolwiek smutny może jest ogólnie wzięty stan dzisiejszy, znowu zaprotestować musimy przeciw tym, coby nie rozumiejąc nas, chcieli wnosić że rozpaczamy o przyszłości. Bynajmniej—pracować musi społeczność w pocie krwawym na zdobycie prawd—to co dziś przechodzimy, prowadzi do poznania dróg fałszywych, zatem do trafienia na lepsze.

W boleściach rodzi się prawda i światło.

Kto zachorował jak my na zbytnią cześć ideałów, musi się leczyć potem zbytnią czcią materyalizmu, aby z niej wyszedłszy, pośrednią sobie mógł wykreślić drogę. Rodzaj płodozmianu praktykuje się też w gospodarstwie społecznego życia: gdy przekwitną kwiatki, na ich miejscu rosną kartofle smutne. *Miara* i *stosunek* we wszystkiem poznaje się tylko przebraniem miary i skrzywieniem stosunku... Te najważniejsze prawa życia: stosunek i miara, niezrozumiałe są nawet w pewnych epokach; nadmiar wydaje się doskonałością, hyperbola ideałem— tymczasem jest to jedyny środek posunięcia najlepszych rzeczy do absurdum...

Niezmiernie to nudne i smutne co mówimy—Szanowni Czytelnicy—lecz tych kilku ważnych prawd które chcieliśmy wam przypomnieć, nie umieliśmy przybrać inaczej. Później może przyniesiemy wam do domowego ogniska coś bardziej zajmującego; dziś nie umieliśmy, stanąwszy przy niem, rozpocząć inaczej naszego współpracownictwa, jak temi wyrazy płynącemi z serca—które się nam wydały najpotrzebniejszemi. Później znajdzie się chwila na zabawy i na rozrywki, na zaspokojenie ciekawości. Jest w istocie obficie przedmiotów o których mówić możemy, ludzie pracują gorliwie i wiekowi naszemu opieszałości zarzucić nie można. Z wyjątkiem trochy trutniów, coby chcieli prędko dorobić się kawałka chleba z masłem i dla których ów chleb i masło cel życia cały stanowią—nasi współcześni, bracia w domu i po za domem, gorliwie pracują dla nauki, światła i korzyści ogółu. Nigdy nauka może tylu poczciwych, bezinteresownych ofiarników nie miała. Dosyć tu tylko przypomnieć tych nieustraszonych podróżników, rozsianych po całym świecie, którzy giną w pustyniach Afryki i w mrozach podbiegunowych,—a iluż, ilu ubogich, cichych uczonych, professorów, badaczy, zamkniętych w ciasnych izdebkach, pozbawionych wszystkich życia przyjemności, długie lata święci zdobyciu jakiejś prawdy malutkiej, która ma służyć tylko za podstawę, za stopień do dalszego pochodu! I nasz wiek poszczycić się może kapłanami światła bezinteresownemi... Z niebezpieczeństwem życia lecą po nad chmury przypatrywać się tworzeniu śniegu, probują trucizn na sobie, szczepienia chorób, od których padają ofiarą i t. p. Widok tych dobrowolnych męczenników pociesza, rozrzewnia, podnosi gdy na nich spojrzymy, wprzódy się napatrzywszy brudnych istot, co gonią tylko—w walce o byt—za łupieżą dla rozpusty...

Życia prądy płyną żywo w XIX w.,—wszystko się posuwa, rozwija, rozkłada i buduje z tą szybkością, jaką od pół wieku nowe wynalazki—koleje i telegrafy, nadały sprawom człowieka. Tętna w nas wszystkich biją prędzej,—zło też i dobro dosięga rozmiarów straszniejszych, i przesilenie moralne jakiego świadkami jesteśmy, nie będzie trwać tak długo, jakby w innych mogło warunkach.

W dali wschodzą już nam zorze nowej ery, która przejedna sprzeczności, zbliży pozorne przeciwieństwa, zajaśnieje nam światłem i zagrzeje ciepłem nowem. Wszyscyśmy obowiązani przyczyniać się do sprowadzenia rychłego tego okresu nowego, którego mamy prawo się spodziewać... Nie materyalne siły teraźniejszej doby, aż nadto już spotęgowane, ale siły ducha sprowadzą tę erę oczekiwaną.

Któż wie, ażali i trzeciemu wielkiemu plemieniu zamieszkującemu Europę, dotąd mniej czynnemu od swych współzawodników—nie dostanie się rola ważniejsza w cywilizacyjnem posłannictwie. Narody latyńskie spełniły missyę swoją, germańskie nie zdają się przeznaczonemi do przejęcia po nich spuścizny, której są chciwe.. Życie niezaprzeczenie ogromne rozbudza się we wszystkich słowiańskich narodach, których postępy stosunkowo są nadzwyczaj znaczące—przyszłość więc nie powinna przerażać i straszyć... Owszem, jasną, wielką, świetną się ona przedstawia, a ogniska domowe hartować powinny tę stal, która będzie orężem przyszłych naszych zdobyczy...

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki.

I.

Wieś Olszewnica należała do pięknych majętności ziemskich na Mazowszu. Sto włók obszaru dobrej gleby w większej połowie zajmował las, z którego część znaczna jako zabytek dawnéj puszczy, odznaczała się bujnym starodrzewem i zapadłą knieją. Wiekowe dęby i sosny już niewidziane w całéj okolicy, zwracały uwagę każdego. Plenne niwy rozciągały się na rozległéj płaszczyznie, spadzisto ku małej rzeczce, co swoje wody przelewała do Narwi.

Wpośród rozległego ogrodu, na wzgórku, stał duży dwór murowany, co czasy jeszcze Sasów pamiętał, z gankiem na dębowych słupach. Wielka sień z ogromnym piecem, stanowiła zarazem wygodny przedpokój. Tu goście zdejmowali okrycia, tu wisiały wieńce zbożowe z dożynek, tu zawieszano myśliwskie łupy, sarny, dziki, lisy, zające i ptactwo dzikie.

Z sieni dwoje drzwi wiodło: na lewo do kredensu o trzech oknach; na prawo do kancelaryi pana, w której komin kapiasty stał jak olbrzym wśród obszernej komnaty, a przy nim piec staroświecki z niebieskich polewanych kafli, na których miałeś drzewa i kwiaty, zwierzęta i ozdobne floresy. Tu dziedzic dawał dyspozycye i utrzymywał rachunki gospodarskie. Z kancelaryi wchodziło się do dalszych pokojów. Wprost drzwi wchodowych z ganku, wysokie podwoje wiodły do wielkiej sali, łączącej się po obu stronach z dwunastu pokojami rozmaitych rozmiarów. Obszerne podwórze, ozdobne w drzewa i krzewy, mieściło oficyny murowane i lamus piętrowy z drzwiami żelaznemi, zabytek dawnych czasów, zbudowany przez prapradziada dzisiejszego właściciela. Z prawéj strony szły budynki gospodarskie, z równie rozległem podwórzem.

W roku 1866 dziedzicem Olszewnicy był pan Bonifacy Przecki, szlachcic, którego ród od wieków tu był osiadły. Pan Bonifacy, dorodny mężczyzna, silnie zbudowany, chociaż już zarywał szóstego krzyżyka, czerstwo jeszcze i młodo wyglądał. Oddany gospodarstwu, od wczesnej wiosny do pierwszych śniegów ciągle w ruchu, to pieszo z okutą *palicą*, jak mówią Mazury, to konno, to na bryczce zaglądał w każdy zakątek, wiedział o wszystkiem co się w rozległem jego gospodarstwie działo.

Przez długie lata, nie mając innych ciężarów oprócz pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, przy zmianie stosunków rolniczych, po odjęciu 20 włók ziemi dla włościan i z powodu wypadków nieprzewidzianych, musiał pan Bonifacy zaciągnąć dług około 80,000 złotych polskich.

Jakkolwiek majątek prowadzony energiczną jego ręką, dawał piękny dochód, dług ten trapił go ciągle i sen mu nieraz spędzał z powiek. Spłacił z niego już połowę, druga ciężyła mu kamieniem, miał jednak ufność w Bogu, że w ciągu dwóch lat dobrego urodzaju i tę uiści i nareszcie odetchnie spokojnie.

Małżonka jego, pani Teofila z Jarzemskich, słynęła przed dwudziestu laty z wdzięków i widoczne ślady piękności dotąd zachowała. Smukłego wzrostu, jasna blondyna, oczy miała duże, niebieskie, w których żarzył się jeszcze ogień życia i nieraz migał niby odblask młodości. Ruchy jéj udatne przy kształtnéj postawie, nadawały jéj wiele powabu. Czynna i pracowita, zajmowała się gorliwie niewieściem gospodarstwem: to też w tym dwo-

rze, jak sąsiedzi mawiali: «chyba ptasiego mleka brakowało.»

Rodzina państwa Przeckich składała się z dwóch córek dorosłych panien i syna pierworodnego, liczącego dwudziesty trzeci rok życia.

Jadwiga, starsza, była wiernym wizerunkiem matki, tak z całej postaci jak z oblicza. Rysy twarzy regularne, pociągłe, oczy habrowe, płeć alabastrowa z żywym rumieńcem, rączka i nóżka mała i kształtna, stawiały ją w rzędzie pierwszorzędnych piękności na całą okolicę. To też, gdzie się tylko pokazała, czy to w domu rodzicielskim na większych zebraniach, jak np. w imieniny ojca i matki, w święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne, czy w sąsiedztwie na zabawie, rój wielbicieli ją otaczał, nęcony jej wdziękami. Niemniej korzystne wrażenie robiła w samej Warszawie, gdzie rok rocznie bywała: ojciec bowiem zawsze z całą rodziną odwiedzał to miasto w pierwszej połowie maja, odprawiając pielgrzymkę do *Czerniakowa* w czasie odpustu na *Świętego Bonifacego*, jako swego patrona. Matka jego, niewiasta pobożna, którą kochał za życia a czcił jej pamięć zawsze, na łożu śmiertelnem zobowiązała go do tego.

— Kiedyś się urodził, byłeś wątły i chorowity (mówiła do niego); gdy coraz gorzej było i doktorzy żadnej nie robili mi nadziei, jam cię zawiozła do Czerniakowa, i tam z płaczem błagałam Boga o twoje ocalenie. Wróciło ci zdrowie i czerstwość, a ja otoczona twemi dziećmi, umierając błogosławię ci, ale zaklinam, pamiętaj na mój ślub, że co rok tam będziesz, dziękując Bogu za udzielony ratunek. Duch mój będzie wtedy z tobą, i razem modlić się będziemy!

Pan Bonifacy wierny słowu danemu swojej rodzicielce, co rok odwiedzał Czerniaków.

Młodsza Ewunia, nie przypominała w niczem ani oblicza matki ani ojca. Twarz więcej okrągła, nosek nieco zadarty, niższego wzrostu od siostry, oczy miała czarne, włos kruczy, brwi jaskółcze, przytem lica chociaż nieco śniade, barwiły się żywszym rumieńcem. Wyraz jednak oblicza, przy małych a kształtnych koralowych ustach, i cała postać, miały tyle powabu, że przy starszej Jadwidze nic nie traciła, znajdując także niemałe grono wielbicieli. Z nich jedni szli za pociągiem serca, drudzy, a tych była większa liczba, w nadziei dobrego posagu, gdyż pan Bonifacy w całej okolicy uchodził za bogatego.

Jakoż zasobność i dostatek we dworze Olszewnicy, piękne pojazdy, dzielne konie swego chowu, liczna służba, zdawały się stwierdzać tę reputacyą.

Syn Wacław, stosownie do życzenia matki ukończywszy cztery klassy na pensyi prywatnej, uczył się gospodarstwa przy ojcu, do którego postawą całą, wzrostem i rysami twarzy był wielce podobny. Objechał w kraju wszystkie lepsze gospodarstwa, przypatrzył się im w Poznańskiem, a miłując szlachetny zawód rolnika, oddał mu się z zapałem młodości.

W końcu jakoś maja, pan Bonifacy, wstawszy jak zwykle rano, słysząc pogwizd wichury, rozpalił w sypialni własnoręcznie ogień na kominku, i usiadłszy przed nim w głębokie zapadł dumanie. Z myśli wszakże swoich nie umiałby zdać sprawy, tak się plątały bezładnie; czuł tylko miłe ciepło kominkowe i równie miłą jasność płomienia, z gorejących dębowych polan i smolnych pni sosnowych.

Długo tak siedział, paląc ulubioną fajeczkę, gdy trzask drzewa na kominku rozbudził smaczno śpiącą jego małżonkę, która ujrzawszy pana Bonifacego siedzącego po przeżegnaniu się, rzekła jak zawsze słodkim i łagodnym głosem:

— Mój Bonusiu! dobrze że jesteśmy sami i nikt nas nie posłyszy, chciałam ci się wyspowiadać z mojej troski, co mi spokoju nie daje.

— A powiedzże mi moja Teciu (bo tak ją zwał pieszczotliwie), co cię tak może niepokoić...

— Wiesz, że córki nasze dorosły—mówiła pani Teofila coraz ciszej — Jadwisia skończyła już lat dwadzieścia...

— Bogdaj tam! a toć skończyła przeszłej jesieni dwadzieścia jeden lat! odpowiedział ojciec.

— Tem gorzej! — dorzuciła matka — kręci się dużo koło niej i chwalą, wielbią, ale żaden z porządniejszej młodzieży dotąd się o jej rękę nie oświadczył.

— *Śmierć i żona od Boga naznaczona!* przebąknął pan Bonifacy, wypuszczając gęsty kłąb dymu z fajki.

— Tak! to prawda—ciągnęła dalej pani Teofila—ale w dzisiejszych czasach trzeba starania i zabiegów, żeby wydać córkę za mąż przyzwoicie. Ja w wieku Jadwisi już byłam matką, a ona, strach mnie bierze gdy pomyślę, że może zostać starą panną!

— Porzuć tę obawę! dziewcze ładne, podobne do ciebie, a przytem jest i posażek, to nie będzie siało *rutki na starość*, mówił spokojnie pan Bonifacy. Za dwa lata spłacę resztę długów, a jak się kieszeń nieco wypełni, to na zimę potem pojedziemy do Warszawy, jeżeli jej się przez ten czas dobra partya nie zdarzy.

— Bój się Boga, mój Bonusiu! toć za dwa lata Jadwisia będzie miała lat dwadzieścia trzy—szepnęła matka ciszej—co też wygadujesz! Tu na pośpiechu wszystko zawisło, żeby nie okrzyknięto w naszej okolicy, że nasze panny nietylko dojrzałe, ale przejrzałe! I jakaż ich będzie przyszłość, bez męża, bez opieki, biedne sieroctwo; a nam bliżej niż dalej do grobu!

I w głos się rozpłakała.

Pan Bonifacy był miękkiego serca, nie mógł znieść łez u obcych, cóż dopiero widząc szlochającą rzewnie ukochaną żonę.

— Moja droga Teciu, cóż ja na to poradzę, mówił żałobliwym głosem; przecież na stroje wasze nie żałuję grosza, bywamy u ludzi i ludzie u nas; chwalą co prawda, ale cóż z tego, kiedy żaden się nie oświadczył. Już to widzę więcej ma szczęścia Ewunia, bo w niej się kocha naprawdę Adaś z Łomnicy.

— Ale co za przyszłość! — zawołała pani Teofila — dzierżawca na małej wioszczynie!

— Prawda to, ale młodzieniec przystojny, pracowity i dobry gospodarz, ma przyszłość przed sobą — odrzekł pan Bonifacy; — wreszcie żaden książe ani hrabia nie uderzy o nasze córki w zaloty.

— Nic by w tem dziwnego nie było, mój Bonusiu,— uspakajając się w płaczu, przerywanym głosem mówiła matka — przecież młodszej przed starszą wydawać nie możemy.

— A jakiż na to sposób moja Teciu?

— Trzeba nam się przenieść—odezwała się pani Teofila z niezwykłym zapałem—na stałe mieszkanie do Warszawy, otworzyć dom i dać się poznać! Tam, jako w dużem mieście, łatwiej odpowiednie partye znaleźć dla obu naszych córek, i Wacław nabierze więcej poloru i maniery, gdy się przetrze między ludźmi, a nie będzie pleśniał w tym zakącie wiejskim. Trzeba Olszewnicę sprzedać; to co się zostanie, wystarczy aż nadto dla nas i dla dzieci. Słyszałam, że ziemia idzie w górę; wczoraj, kiedyś wyjechał do miasteczka, był u mnie Rudy Szmul z pod Kamienia i mówił mi że ma gotowego Niemca co dobrze zapłaci...

— Co! co! zawołał z oburzeniem pan Bonifacy, i ty mi to radzisz, abym ten dwór i ziemię na której się urodziłem, sprzedał Niemcowi? Zastanów się kobieto co mówisz!

Niezwykła surowość męża, a szczególniej wyraz *ko-*

bieto! którym nigdy do niej nie przemawiał, przestraszyły panią Teofilę—słodkim więc głosem odrzekła:

— Mój drogi, kochany Bonusiu! tylko się nie unoś. Wysłuchaj wszystkiego cierpliwie, a potem zrobisz jak zechcesz, jako głowa domu i rodziny. Ja tylko wtedy nie będę miała nic na sumieniu, a cichą skargę moją złożę u stóp Najświętszej Panny.

Przy ostatnich tych słowach, łzy jej puściły się z oczu.

Pan Bonifacy nałożył drugą fajkę *turkiem* i zaczął chodzić po sypialni szerokim krokiem, pani Teofila tymczasem przywdziawszy ranne ubranie, uklękła i modliła się przy swoim klęczniku. Mąż nie przerywał, ale gdy skończyła, zapytał:

— I cóż ci, moja Teciu, mówił ten Rudy Szmul?

— Mówił mi, że przyjechał tu milionowy kapitalista z Berlina, że chce kupić majątek, że oglądał Olszewnicę a szczególniej lasy, że mu się spodobała i lepiej zapłaci niż kto inny. Należałoby korzystać z takiej dobrej sposobności, bo potem, jak dla córek przyjdzie dać posag, to znowu długi zaciągać będzie potrzeba. Ty nowe troski mieć będziesz mój Bonusiu, i nigdy nie odetchniemy swobodnie. Weź to na swój rozum i rozporządź jak zechcesz. A teraz chodźmy na śniadanie.

Pan Bonifacy już nic nie odrzekł na te argumenta swej połowicy, ale z pochmurnem czołem po śniadaniu wsiadł na siwego stępaka i ruszył w pole.

(C. d. n.)

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

Niejeden zapewne z czytelników, w przejażdżkach lub wędrówkach swoich po szerokim świecie, oglądał słynne i z ksiąg lub opowieści znane miejsca, w których przyroda i sztuka, w harmonijną całość zespolone, swoim niewysłowionym urokiem przenoszą patrzącego w jakąś zaziemską krainę i zostawiają w jego duszy wrażenie niczem niezatarte.

Tem zespoleniem przyrody i sztuki, tym objawem cywilizacyi podniesionej na wysoki szczebel udoskonalenia, są ogrody. Ktokolwiek podziwiał park windsorski, lasek buloński, ogród laxenburgski, ktokolwiek marzył pod cieniem topoli willanowskich, ktokolwiek wreszcie w skromnym, wiejskim ogródku, sadzonym ręką pradziada, rozmyślał gorzko nieraz nad dolą własną i przyszłością swoich potomków, ten niezawodnie pojął głębokie duchowe znaczenie i rolę, jaką cieniste zacisze odgrywa w życiu człowieka. Podziw wywołał uwielbienie dla Stwórcy; marzenie szlachetne rozbudziło zapał i energię, miejsce dręczących myśli zajął spokój, a za nim nadzieja..: taki wpływ wywiera niewątpliwie pobyt wśród drzew, krzewów i kwiatów na każdym, kto umie patrzeć, czuć, myśleć i.... kochać. Ogród, to świątynia dla artysty, przybytek wiedzy dla badacza, powiernik i przyjaciel dla rodziny.

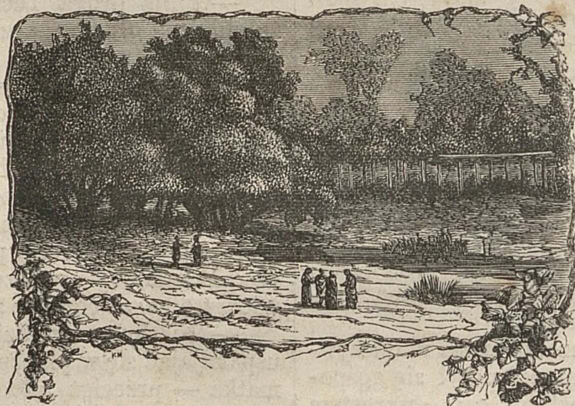


Fig. 1. Ogród Laertesa.

Nie dziw przeto, że w dziejach cywilizacyi napotykamy wzmianki o ogrodach. Wierzymy najmocniej że powstały one równo z chwilą w której człowiek porzucił życie koczujące i łowieckie: znaglony potrzebą, a może popędem do doskonalenia się, osiadł na bezleśnych równinach, lecz tęsknił za dawnemi towarzyszami, których cień chronił go od skwaru, których owoc gasił jego pragnienie a szmer łagodny do snu kołysał. Ta tęsknota zrodziła święte gaje, a następnie ogrody i sady. W miarę rozwoju pojęć estetycznych sztuka zaczęła iść w pomoc przyrodzie; bezład pierwotny znikał, ustępując przed harmonią barw i symetryą kształtów. Coraz wyższa doskonałość ogrodów szła ręka w rękę z wznoszącą się coraz wyżej cywilizacyą.

Czemże więc są dzieje ogrodownictwa? Oto rozdziałem z historyi ludzkości, wykazującym dotykalnie i prawie bezpośrednio, że im bardziej człowiek podnosił się duchowo, tem więcej potrzebował obcować z przyrodą, tem więcej od niej wymagał, tem troskliwiej płody jej uszlachetniał. Zastój lub upadek cywilizacyi sprowadzał i sprowadza zawsze zastój lub upadek sztuki ogrodniczej, i skrzywienie pojęć piękna, zdarzające się nieraz wśród cywilizacyi napozór wielce udoskonalonej, odbija się wiernie w postaci ogrodów i parków. Słowem, rzec można, iż (pominąwszy nieprzyjazne wpływy i przeszkody) stan ogrodownictwa jest zwierciadłem stopnia i kierunku cywilizacyi narodu.

Tego zdania pragniemy dowieść, i to jest przedmiotem niniejszej pracy. Przedsiębierzemy podróż wielką, ogarniającą wiele wieków, wiele plemion i krajów, i nie wątpimy, że czytelnicy zechcą nam w tej podróży towarzyszyć; a zapewniamy zawczasu, że obiegłszy niemal świat cały, obejrzawszy wszystko co godne widzenia, od Babilonu do Wersalu i od Chin do Włoch, zaprowadzimy ich napowrót do pradziadowskiego ogródka, i tam, słuchając szumu smutnej brzozy, poważnej lipy albo lękliwej osiczyny, wędrówkę i gawędę naszą, jak przystało, zakończymy.

I. Ogrody w starożytności.

1. Europa.— Grecya.

Pierwszą wzmiankę o ogrodach greckich znajdujemy w Homerze i mamy prawo mniemać, że sztuka ogrodnicza już przedtem dość wysoko stała w Grecyi; świadczą o tem dwa ustępy z Odyssei: jeden, zawierający opis sadu Alcynousa, władcy Teaków, na wyspie Korfu; drugi, opis sadu Laertesa.

Oto, co Homer opowiada o sadzie Alcynousa: Przy pałacu królewskim rozpościerał się rozległy sad ze wszech stron otoczony żywopłotem; drzewa uginały się pod ciężarem najpiękniejszych owoców, gruszek i granatów, rumianych jabłek, słodkich fig i zieleniejących oliwek.— Niewielki wpływ wywierały na nie lato i zima, zbyt łagodna w tym klimacie. Jedne też drzewa rozkwitały,

gdy na drugich owoc już dojrzewał. W końcu ogrodzenia rozradzały się warzywa i dwa wodotryski ozdabiały to miejsce rozkoszne, jeden wpośród sadu, drugi przed wspaniałym pałacem, gdzie każdy obywatel mógł czerpać wodę.

Przed domem królewskim ozdobionym drewnianą kolumnadą dorycką, przejrzysta krynica zasila sadzawkę, a jedna z jej strug swobodnie przebiega i użyznia przestrzeń czworoboczną, leżącą na pochyłości, otoczoną żywopłotem, i aleje wskazujące podziały wewnętrzne tej przestrzeni. Powyżej pałacu gaj drzew owocowych osłania winnica, która od strony wzgórza kąpie się w promieniach słonecznych. Ogród warzywny mieści się w dolinie po obu krawędziach łożyska dawnej rzeki, gdzie źródło roznosi swe wody.

Wejdźmy na chwilę z Ulissesem do przepysznego sadu Laertesa, ojca bohatera Odyssei. Tu wpośród krzewów wznosi się jego pomieszkanie ze wszech stron otoczone portykiem, w którym niewolnicy znajdują posiłek i spoczynek. Ulisses zapuszcza się w sad cienisty, wchodzi do wielkiej winnicy i nie znachodzi ani Dotiosa i jego synów, ani innych niewolników. Dotios uprowadził ich daleko, zalecając zbieranie głogów do żywopłotów. Ulisses spotyka tylko swego ojca, z rydlem w ręku, w wyszarzanej i połatanej tunice, w sandałach rzemiennych i rękawicach, z głową osłoniętą szyszakiem z koźlęcej skóry, jakby na dopełnienie tego dziwacznego stroju. Syn zbliża się do ojca w chwili gdy ten rozkopuje ziemię rydlem. „Starcze, rzecze, zdolnym jeszcze jesteś ogrodnikiem, jakże starannie pielęgnujesz oliwki, figi, grusze i winnice! Każda piędź ziemi świadczy tu o twej pracy i gorliwości". (fig. 1.)

Dawni mocarze w wojnie miecz, w czasie pokoju rydel brali do ręki, dając z siebie przykład sługom. Salomon równie jak Laertes pracował nad przyozdobieniem swego pomieszkania, które nazywał *domem libańskim.* „Zostałem, mawiał, sadownikiem i ogrodnikiem; zajmuję się uprawą wszelkich drzew owocowych, urządziłem zbiorniki zaopatrujące w wodę moje parki".

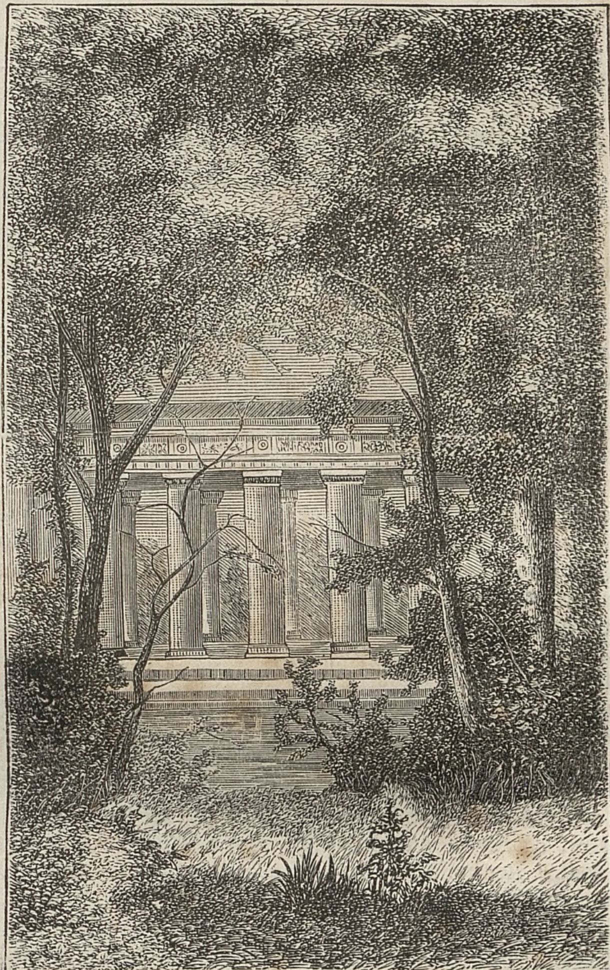


Fig. 2. Ogród starożytny na Archipelagu greckim.

Człowiek, zakładając sady około swych pomieszkań, poświęcał je bogom. Grecy otaczali świątynie drzewami. Stary Herodot a po nim inni pisarze aż do Lucyana, Apula i Petroniusza opisują nam gaje święte, podobne do naszych parków. Jednym z najstarożytniejszych i najwspanialszych był gaj położony w bliskości Olimpii, poświęcony Dyanie przez Ksenofonta. Słynny ten wódz grecki, uczeń Sokratesa, zakupił w tym celu ziemię z części łupu ofiarowanej bogini. Kraj przerzynała rzeka Selenus, jednobrzmiącej nazwy z płynącą w Efezie, mieście oddawna poświęconem Dyanie, która tem samem zdawał się jakby wskazywać wybór miejsca. Sad obejmował rozległą przestrzeń górską, zagajoną przeróżnemi krzewami, gdzie hodowano kozy, woły i konie, a na okół świątyni rosły drzewa wydające owoc we wszelkich porach roku.

Starożytna Grecya, ściśle biorąc, nie posiadała ogrodników artystów:—więcej zajmowała się człowiekiem niż przyrodą, ztąd zamiast uprawiania rzadkich roślin i wytwarzania nowych ich gatunków, zwracano się do architektury i rzeźby, ozdabiając posągami dzikie gaje. Zresztą uboga i jałowa ziemia Attyki pozwalała jedynie na zakładanie alei platanów, fig i wiązów. Główną też ozdobą palestr i gimnazyów w których młodzież rozwijała swą siłę i zręczność, były aleje, stanowiące zarazem ornamentykę akademij i liceów, tych przybytków nauki, w których filozofowie przechadzali się rozprawiając ze swemi uczniami. Cisza tajemnicza i rozkoszna panowała w ogrodach Epikura, na wzór których zakładano inne; nie wiele przecież wiemy o ich szczegółowem urządzeniu. Najpiękniejsze sady istniały bezwątpienia na archipelagu heleńskim (fig. 2). Ta ziemia wulkaniczna, powyginana, połamana przeróżnie, ten majestatyczny widok morza i żywy błękit niebios, ta cała przepyszna panorama dodawała nieporównanego wdzięku zieleniejącym krzewom i różnobarwnym kwiatom, pociągała oczy czarem piękna. Tu, podobnie jak w sadach Alcynousa lub w rajach perskich, kwitły drzewa owocowe wszelkich gatunków. Cyprysy mięszały się z wawrzynami i platanami, bluszcz na wyniosłych jodłach rozwieszał swoje festony, a fijołki, mieczyki i narcyzy splatały się w gajach z różami, liliami i hyacyntami. Źródło w postaci wodotrysku, świątynia Bachusa lub innego jakiego bożka ubrana w liść winny, ołtarz strojny bluszczem, dopełniały obrazu sadów na wyspach Eubei, Athos, Rodos i innych, stanowiących archipelag grecki.

Artyzm heleński łączy się ze wschodnim w ogrodach syryjskich, wpośród których ogrody Antyocha olśniewały przepychem. Mocarz ten w murach swej stolicy uwięził góry na siedmset stóp wyniosłe, skały ścięte cyplowato, strumienie, przepaście i wodotryski, głębokie parowy i niedostępne groty, wpośród których snuł się rozkoszny ogród. Gęste szpalery kwitnących mirtów, bukszpanów i wiecznie zielonych wawrzynów—skały ustrojone gwoździkami, hyacyntami i gdułą (Cyclamen europaeum), przedstawiały widok ogrodów jakby zawieszonych w powietrzu. Rozmaitość kwiecia, świeżość trawników, piękność platanów rosnących nad brzegami Orontu, zachwycały umysł Jana Chryzostoma Libaniusza i Juliana.

Grecya pod panowaniem Rzymian posiadała ogrody nie wiele odstępujące swym ustrojem od sadów Alcynousa. Jakie nam opisuje Homer, takie same prawie zna-

chodzimy w innych pisarzach z późniejszej epoki, jakoto w autorze Leucippa i Klifona, który nam przedstawia ich gaj rozkoszny.

Gaj ten otoczonym był dokoła murem średniej wysokości, osłaniającym go z czterech stron. Każdy bok tego czworokątu wspierał się na kolumnach, dach podtrzymujących. Wewnątrz tej zagrody gałęzie zieleniejących drzew krzyżowały się z sobą przeróżnie. Liany rozpinały swe misterne warkocze na platanach, bluszcz rozwieszał się na jodłach, winna latorośl na trzcinie. Pęki kwiatów wychylały się po za mury, a cień liści mięszając się z odbiciem promieni słonecznych, rozrzucał po ziemi plamy falujące.

Wpośród kwiecia bez liku, źródło zapełniało przejrzystą wodą sadzawkę kwadratową—wzrok zdawał się dostrzegać wtedy dwa gaje, jeden rzeczywisty, drugi odbity w tafli wodnej; — ptaki oswojone zamieszkiwały to miejsce rozkoszne, igrając swobodnie na gałązkach drzew i krzewów. Wzrok mógł się tu nasycać pięknością kwiecia, słuch zachwycać melodyą skrzydlatych wirtuozów. Łabędź poważnie przepływał ciche wody, papuga odzywała się w złoconej klatce zawieszonej na drzewie, a paw rozpinał majestatycznie wachlarzowate swe pióra wpośród uroczej zieleni. Barwy kwiatów zlewały się z bogatem opierzeniem różnorodnego ptastwa w jedną harmonijną całość, nęciły wzrok i duszę.

Takiemi były ogrody i gaje starożytnej Grecyi; wypada nam teraz przenieść się na wschód i zapoznać się z wiszącemi ogrodami Babilonu, z rajami Persyi, z architektoniką i estetyką ogrodowniczą w Egipcie i Chinach, w prastarych czasach. *(C. d. n.)*

ROZPRAWY O MAŁŻEŃSTWIE I WYCHOWANIU,

w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.

przez Wł. Chomętowskiego.

Kwestye stosunków małżeńskich i wychowania należały zawsze do najżywotniejszych, odkąd poważniejsze umysły zaczęły zastanawiać się nad przyczynami złego, nurtującego w rodzinie i społeczeństwie. Jak dziś tak przed trzystu laty los całej rodziny zależał od wzajemnego stosunku małżonków i ich współdziałania w pracy około domowego zarządu. Ojcowie kierowali zazwyczaj wychowaniem synów, atoli rozumna matka i żona czuwała nad ścisłem wykonaniem planu wskazanego przez męża, dopóki dzieci znajdowały się w domu pod jej okiem. Mąż był panem domu w całem znaczeniu słowa, żona podległa jego woli—powiernicą myśli i pomocnicą męża. W kodeksie ówczesnych ustaw małżeńskich nie tolerowano żon emancypantek, stawiających się w zupełnej niezależności od mężów. Nie sądzimy jednak, aby nie było niewiast emancypantek w XVI lub XVII wieku, chociaż nie pisano na ich korzyść wyłącznych dzieł i traktatów. Stanowisko niewiasty w rodzinnem kole zależnem było zawsze od wychowania, otaczających wpływów a nadewszystko od samych mężów. Owe tak nazywane *nędziochy*, zagarniające całą władzę w stosunkach domowych, miały zazwyczaj niedołężnych mężów, którzy z zupełną pokorą poddawali się swej biernej roli. Rozumie się że nie zawsze panie potrafiły wyręczać mężów bez okrycia ich śmiesznością i z pożytkiem dla rodziny, ale zdarzało się nieraz, że rozumne i energiczne żony pokrywały wiele niedostatków mężowskich, a jako panie domów i rządczynie majątków dawały dowody niepospolitej biegłości. Szerzej rozpisaliśmy się o tem na innem miejscu (¹), chcieliśmy tu zwrócić tylko uwagę, że w gruncie rzeczy stosunki małżeńskie nie ulegają zmianie, chociaż w różnej przedstawiają się formie, stosownie do ogólnego nastroju obyczajów i różnego stopnia oświaty. Nie znajdziemy dziś bezwątpienia więcej miłości, cnót i poświęcenia, owszem wiele możnaby zaczerpnąć w tej mierze budujących z przeszłości przykładów, — stanowisko jednak dzisiejszej niewiasty wogóle jest więcej samodzielne i niezależne. W obyczajowości dawnych niewiast naszych dwa nader wybitne, zupełnie różne dostrzegamy prądy. Pełne prostoty, pobożności i skromności nasze prababki nie miały nic wspólnego z współczesnemi, wyemancypowanemi na wzór zagraniczny damami z czasów saskich lub Stanisława Augusta. Ale kiedy pierwsze odbierały zasłużone hołdy, pogardzano zawsze niewiastami nieszanującemi związków rodzinnych lub odznaczającemi się wolnością w obyczaju.

Wypada z porównania dawnych i obecnych stosunków uczynić korzystne spostrzeżenie, że dziś pomimo objawów większej samodzielności w niewiastach, zgodnie z podniesionym poziomem ich oświaty, obyczaje nasze w łagodniejszem przedstawiają się świetle.

Zanim przejdziemy do przeglądu dawnych rozpraw o małżeństwie i wychowaniu, w przedmiocie drugiej z tych kwestyj musimy wypowiedzieć słów kilka. W szeregu pism rzucających światło na kierunek wychowania młodzieży w XVI i XVII wieku, do ważniejszych zaliczamy instrukcye dawane przez ojców dla nauczycieli. Mamy tego rodzaju pomnik z pierwszej połowy XVII wieku, w instrukcyi Jakóba Sobieskiego kasztelana krakowskiego, danej guwernerowi Orchowskiemu przy wysyłaniu synów do szkół krakowskich (¹). W instrukcyi tej na pierwszym planie postawił troskliwy ojciec potrzebę kształcenia serca swych synów. Zaleca najprzód, aby nabożnie odmawiali pacierze i słuchali Mszy św., następnie aby w każdą sobotę rozdawali jałmużnę biednym, oraz, aby odwiedzając domy wdów biednych, sierót i pielgrzymów, nie opuszczali żadnego biednego bez wsparcia. W przedmiocie wyboru towarzystwa dla synów, żąda ojciec aby proszeni na wesela i bankiety do uczciwych domów, bawili się ochoczo i tańczyli z niewiastami: „Nie chcę ja aby tylko po łacinie byli mądremi,—ale żeby też i po polsku byli grzecznemi.” W dalszym ciągu pisząc o stosunku z kolegami, nie dozwala unosić się próżną i szkodliwą pychą, poleca jednak aby przestrzegali porządku w kościele i aby synowie mniejszych senatorów i dygnitarzy nie zabierali im przynależnego miejsca, jako kasztelanicom krakowskim. Najważniejszy jest ustęp instrukcyi w przedmiocie nauki synów. Żąda ojciec aby ćwiczyli się we wszystkich przedmiotach wykładanych w ówczesnych szkołach, a najprzód: w wymowie, historyi, dyalektyce, retoryce, filozofii moralnej, później w mate-

(¹) Stanowisko praktyczne dawnych niewiast. Warszawa 1872 r.

(¹) Instrukcya Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, ojca króla Jana III, dana p. Orchowskiemu ze strony synów. Wilno 1840 (Wydanie drugie ks. L. A. Jucewicza).

matyce i nauce prawa, wyłącza tylko logikę i metafizykę, jako nauki ludzi próżnujących. Największy kładzie nacisk na uczenie języków nietylko starożytnych ale i nowożytnych, mianowicie: niemieckiego, francuzkiego i włoskiego. Życzy też sobie, aby uczyli się synowie i po turecku, dodając, że ten język jest dla Polaków potrzebny, z powodu ustawicznych poselstw i wojen z Turkami. Pragnie nadewszystko, aby synowie równie biegle jak po łacinie mówili po niemiecku, uważając że język ten jest nader potrzebny. Pisze zatem dalej, że gdyby synowie nie nauczyli się tego języka w Krakowie, musiałby ich wysłać koniecznie dla dokończenia nauki do Niemiec, chociaż nie zgadza się to zupełnie z nakreślonym przez niego planem dalszej edukacyi synów. Winniśmy tu nadmienić, że nie wszyscy ludzie uczeni przemawiali jak Jakób Sobieski za nauką języka niemieckiego; przeciwnie niektórzy, powodowani uczuciem antagonizmu narodowego, twierdzili że język ten jest wcale dla Polaków niepotrzebny. Uczono synów po niemiecku jedynie ze względu na ciągłe sąsiedzkie stosunki z Niemcami,—niektórzy, jak Jan Ostroróg, wysyłali dzieci w tym celu na pewien przeciąg czasu do Wrocławia. Musimy zaznaczyć, że znakomitsi mężowie nasi z początku XVII w. różnili się w poglądach na sprawę naukowego wychowania młodzieży. Jedni oddawali jak dawniej synów na naukę do jezuickich kolegiów lub do akademii krakowskiej, inni od czasu założenia akademii w Zamościu kształcili tamże synów, uważając że plan nauk tej szkoły odpowiada najlepiej powołaniu szlacheckiej młodzieży, przeznaczonej do zawodu publicznego. Jan Ostroróg wojewoda poznański, tłómacząc synom dlaczego ich oddał do akademii zamojskiej, między innemi pisze: „Wielka ilość przedmiotów wykładanych w kolegiach i uniwersytetach zajmuje czas naprożno młodzieży, sposobiącej się do praktycznego publicznego zawodu; tak bowiem obszerny wykład nauk dla tych tylko może przynieść pożytek, którzy jako przyszli doktorowie akademii mają obrać zawód wyłącznie naukowy, których jest przeznaczeniem trawić całe życie wśród szkolnego pyłu na czytaniu ksiąg starych. Każdy z nich za szczęśliwego uważać się może, jeżeli przed trzydziestym rokiem życia ukończy studya akademickie...... Młodzian wyuczony w dobrej szkole może przed rokiem dwudziestym życia wstąpić do zawodu publicznego; mając gruntowne zasady, nie potrzebuje długo oddychać pyłem ksiąg szkolnych, resztę wiadomości nabędzie przez doświadczenie i obowiązkową pracę, do której go kraj powoła" ([1]). Wyrażając to zdanie opiera się Ostroróg na powadze Jana Zamojskiego, jako jednego z najuczeńszych mężów swego czasu. Zdanie to, że młodzież powinna wstępować wcześnie do zawodu publicznego, przeważało w szlacheckiej, rządzącej warstwie naszego społeczeństwa. Majętniejsi ojcowie uważali za nader pożyteczne wysyłanie synów za granicę dla dokończenia edukacyi, ale głównie w celu poznania urządzeń zwiedzanych krajów, oraz zawiązania stosunków z wpływowemi znakomitemi osobistościami. Synowie mniej zamożnej szlachty i mieszczan kończyli nauki w kraju, za wyjątkiem sposobiących się do naukowego zawodu, którzy korzystając z łaski możnych protektorów, udawali się za granicę dla dokończenia studyów pod kierunkiem słynnych z nauki mężów. *(C. d. n.)*

([1]) Ad filios admonitoria epistola. Leopoli 1615 r.

U OGNISKA.

I.

Nowoodrodzone „Ognisko Domowe" położyło sobie za cel, być pismem rodzinnem, — być w moralnym świecie potrzeb społecznych owym płomieniem rozgrzewającym umysł i serce, tak, aby dłonie zajęte pracą powszednią o byt lub utrzymanie tego bytu, zmrożone i zlodowaciałe przez dotykanie się chłodnych przedmiotów codziennego życia, mogły rozżarzać się i ocieplać zapałem z ducha płynącym.

Przy tej tendencyjnej chorągwi, powiewającej nad zwartym szeregiem współpracowników, staje i *dwutygodniowy* felietonista jak żołnierz pod znakiem pancernych rycerzy... Bo w moralnych pióra pisarskiego wyprawach, pachołek obozowy nawet, czuje się towarzyszem i wiernie a mężnie służyć zamyśla. Święty wyraz *rodzina* wskazuje drogę, wiara zbroi go w rynsztunek wojenny, wspomnienie i tradycya dodaje odwagi.

Przypadają mu wprawdzie w podziale tylko okruchy z ucztowej zastawy poważniejszej treści. Inni, poprzedzający go — chlebem powszednim nauki i wiedzy łamią się z wami czytelnicy. Rozrywkę, przyodzianą w szaty artystycznej wierszowej i powieściowej formy, podają wam słynni na piśmienniczej niwie pisarze. My zaś, jak owa biblijna niewiasta — idziemy za niemi po polu ich pracy, a między snopami związanemi dłońmi tych wyższych, szukamy uronionych, pominiętych kłosów... i mięszając je z błękitnym bławatkiem, którego sierp nie zżął i nie położył na bruzdach, a czasem nawet łącząc z rumianym kąkolem i groszkiem wijącym się, lub poziomym powojem pełzającym w trawie, układamy bukiet, którym nie gardźcie, bo dobra wola go składała.

W potężnym siłą świecie Hellady, u stóp gromowładnego Jowisza, mitologia grecka usadowiła orła, króla ptaków, szparkim lotem wznoszącego się w niebiosa, w krainę chmur i błyskawic. Za orłem wzlatującym pod obłoki goni oko poety; zdobywcy znaczą nim swoje sztandary; starożytni i nowożytni Cezarowie wiążą z nim losy swoje i wierzą że on im ma wróżyć przyszłość tryumfów pełną. I orzeł dla tego czczonym jest i wielbionym, póki nie padnie przeszyty strzałą przeznaczeń albo dopóki nad farysa głową „nie roztopi się całkiem w błękicie". Ale w prozie bieżącej chwili, w ciasnym zakresie murów mieszkania lub więzienia, nad czołami zwyczajnych śmiertelników, któż bez sympatyi nie wita jaskółki, zwiastunki wiosny, lepiącej gniazdko nad oknem, z byle czego co na świecie uzbiera. Wielki poeta co był orłem naszej rodzinnej literatury, który w ogniu poczętą i ogniem zahartowaną miał duszę, poeta ten kochał jaskółkę i zwracał się do niej często, wierząc że szczęście lub nadzieję przynosi.

On, z zamarzniętych ptasząt na dnie jeziora, ożywionych w pierwszych powiewach wiosny, uwił świetlanej nimfie swego przedhistorycznego dramatu—*żywy wieniec* na włosy; on ją w paraboliczną retorykę kazania ojca Marka wiążąc, uczynił ptaszkiem odpoczywającym na krzyżach i na mogile; on ją, sercem gorącem, zrobił drugą po orle, bo wiedział że tamten narodową dumę na skrzydłach swoich niesie a ta w rodzinnem gnieździe śpiewa cichy hymn wiary.

Ztąd felietonista wasz bierze sobie za godło jaskółeczkę żałobną.

Jak ona z nikczemnego materyału lepi swoje schronienie, tak i on swoją różnowzorą i różnobarwną pracę z pospolitego lub „porzuconego" materyału układa.

Dziennikarz potrosze, plotkarz z profesyi, wyrobnik kiedy praca dłań jest ciężarem, dla czytelników „Ogniska“ będzie owym wiernym obrazem ptaszyny, co do słońca z pod strzechy śpiewa, będzie szukał w okruchach pozostałych po orlich ucztach, ażeby nic nie brakło w *piśmie rodzinnem*, nawet tego, czego gościnność nie odmawia żebrakom.

Z torby swej, z łachmanów uszytej, jak u lirnika idącego po świecie o proszonym chlebie, wyjmować będzie z kolei wszystko co uzbiera. Więc dziś, w dzień noworoczny dla naszego pisma, wyjmuje *wigiliowy* opłatek i szczerem sercem łamie się nim z wami.

Boże Narodzenie, to najwyższe i najserdeczniejsze familijne święto, jest dlań punktem wyjścia do tej pierwszej gawędy, w której chociaż faktów mało a wyrazów wiele, nie ustawiała ich chęć stylowa, próżna, marna, felietonistyczna, tylko ona *dobra wola*, o której było słowo powyżej — dobra wola, dla której hymn układał nasz psalmista, o której zapominamy wszyscy potrosze w tym wieku bankowych *krachów*, przemysłowych przedsiębierstw, postępu materyalnego i materyalnych teoryj. A jednak Bóg świadkiem, że ile razy rodzinne koło zasiada do stołu pokrytego sianem, chcielibyśmy aby się znalazł jakiś nowy prorok, któryby palącemi słowy zapału skruszył serca okute w więzy realizmu, któryby wskazał jak marną jest ta praca, co tylko wzmaga dobrobyt ciała a ducha gnębi, morduje i kładzie... w setnym jakimś pogrzebie... do ołowianej trumny. Czy w najgorętszej przez nas ukochane święto nie przychodzi na myśl naszym „zjadaczom chleba”, że łamanie się opłatkiem, jak każda przenośnia, musi wyrażać coś solidaryzującego jednostki w kółka rodzinne, kółka zaś te w jedno, wielkie, społeczne koło, gdzie hotelowe życie pośpiechu amerykańskiego niema nic z naszemi potrzebami wspólnego?

Dźwigajmy się materyalnie, ale wznośmy zarazem moralnie.

Ale u nas wszystko spieszy fantastycznemi krokami. Iść nie umiemy, tylko skakać — i to od jednej do drugiej ostateczności. Wyperswadowano nam że potrzeba pracować *coûte que coûte*, więc pracujemy na zabój, ażeby tylko używać owoców naszej pracy. A tu tymczasem, wszyscy którzy nawoływali, mniemali że będzie inaczej.

Spodziewać się jednak należy, że to *inaczej*, może jeszcze nadejdzie; wszakże jesteśmy przy wrotach nowego roku, pełnego nadziei i obietnic jak wszystkie poczynające się lata; zamiast zatem winszować sobie złudnych marzeń jak to było w zwyczaju, weźmy się przyjaźnie za ręce i postanówmy ciężką pracę materyalną podnosić krzepieniem ducha. A tyle jest na tem polu do zrobienia przy... domowem ognisku!

Wprawdzie moralizować nie jest zadaniem felietonisty, ale my znajdujemy się w tak odrębnem i wyjątkowem położeniu, że u nas «wszystkie drogi prowadzić powinny do Rzymu» jak mówi francuzkie przysłowie. Tyle sprzecznych kierunków kołysze i chwieje gmachem społecznej naszej budowy, że nawet pióro lekkim poświęcone przedmiotom, pnie się mimowoli na wyżyny kaznodziejskiej mównicy. Więc przebaczcie nam czytelnicy, że określając potrosze stanowisko naszej gawędy w tygodniku, z którym zapoznajecie się obecnie, poruszamy pośpiesznie i gwałtownie wszystkie moralne materyały jakie zajmować nas muszą. Pomimo to nie myślimy odbiegać od wszystkiego co stanowi barwną kronikę miejskiego i wiejskiego życia, i *u ogniska* prawić będziemy o wszystkiem z czego składa się ona, tak jednak, ażeby dziewice nie rumieniły się, a matki mogły śmiało, w chwilach rekreacyjnych, pismo nasze pozostawiać w ich dłoniach. Łącząc w mozajkę fakcików różnokolorowych treść bieżącej chwili, zanotujemy każden objaw ruchu we wszelkiej dziedzinie myśli lub czynu, i ze swobodą na jaką pozwala rodzaj odcinkowy, przeskakiwać będziemy od *a* do *z*, pomijając nieraz pośredni szereg liter w alfabecie.

A ten *środek*, właśnie to rzecz tak ważna, jak środek głosu dla tenora, u którego zwykle kiedy dolne giną nuty, górne przedłużają się do wysokości, jakich pozazdrościłby im jeden z naszych przyjaciół, hodujący i kształcący «falset z głowy», w miarę jak piersiowy głos ucieka z pod jego żebrowej deki. Iluż by śpiewakom włoskim przydał się ten tani sposób konserwowania *ut dièze...* fistułowego. Nasi tegoroczni *italiani* wcale przyzwoicie a jednak cienko wyśpiewują. Bratnią pomoc niosą im nieraz artyści miejscowej warszawskiej opery, a dyrekcya przyozdobiła im przepyszną wystawą przedstawienie *Aidy*, niewolnicy i zarazem *królewnej* etiopskiej, będącej bezzaprzeczenia *królową* tegorocznego włoskiego repertuaru. W istocie, kto chce oko zabawić widokiem prześlicznych dekoracyj i bogatych kostiumów, niech spieszy posłuchać najnowszej partycyi Verdi'ego napisanej na obstalunek *kedywa*, kochającego się w zbytku scenicznym i w muzyce popularnego maestra. W ostatnich dniach ubiegłego roku powodzenie «Aidy» u nas, zdwoił występ panny Paschalis, warszawianki, w roli *Amneris*. Utalentowana śpiewaczka umiała zachwycić wszystkich, a publiczność naszego miasta cieszy się nadzieją, że ją dyrekcya teatrów miejscowych pozyskała nietylko dla włoskiej ale i dla polskiej opery, że rodaczka nasza nie opuści sceny naszej i że pozostanie nam na lato. Tymczasem amatorowie dramatycznej muzyki, pewni że dzielna pomoc takiej artystki będzie *greet atraction* sezonu karnawałowego, oczekują na szereg zapowiedzianych wznowień i nowości.

A gwar rodzącego się karnawału dolatuje już uszów naszych. Resursa jedna i druga zamierza urządzać bale i wieczory na korzyść ubogich, więc ci nawet coby się może nie pokusili tańczyć, zgadzają się jakby za pokutę, *poskakać* trochę w imię miłosierdzia. Warszawa bowiem, chociaż poważnieje widocznie i stroni od lekkomyślnych rozrywek, umie sobie tysiąc rzeczy wytłómaczyć i pokryć celem dobroczynnym. Nam piszącym, chociaż nieraz widzimy w tych filantropijnych zamiarach hipokryzyi trochę, nie wolno i nie wypada krytykować jej. Cel uświęca środki... podobno... więc pokornie głowę schylamy *do czasu*, póki rzeczywiście nie skonstatujemy jakich ujemnych stron w tej komedyi życia towarzyskiego. Chociaż nader często już... już... gotowi byliśmy sądzić Warszawian niekorzystnie, zwłaszcza w dniach ostatnich przeszłego miesiąca, patrząc jak... mało i nie przez wysoko położone osoby patronowane przedstawienia amatorskie... dawane na korzyść szkółki elementarnej, gromadziły w salonie Szwajcarskiej Doliny, «nieliczne» grono widzów.

A *szkółki*, to przecie jeden z owych rynsztunków duchowych, o których wspominaliśmy na początku naszej gawędki, jedna z tych sił moralnych którą wzmacniać i propagować należy; bo w nauce pierwotnej, elementarnej, najniższej,—społeczeństwo daje swej najmłodszej i najnieszczęśliwszej rodzinie zapas wiary, nadziei, miłości, — bez których to cnót teologicznych wpojonych w serce, wyrastają z czasem podpalacze i nihiliści cyniczni, burzyciele dążący do ruin i pożarów. Ale przedmiot to zaobszerny aby go można pobieżnie traktować, a tu pierwszej naszej konwersacyi tak mało miejsca w ogniskowym tygodniku przypadło, że nie chcąc się wyłamywać z ram zakreślonych, odkładamy dalszy ciąg w tej materyi do felietonu który przyjdzie z kolei za dwa tygodnie, w *trzecim* numerze « Ogniska Domowego. » W nim mniej czytelników naszych nudzić zamierzamy niż dzisiaj, będziemy bowiem lepiej przygotowani do felietonowej pracy, powierzonej nam obecnie niespodzianie i nagle.

Zyg. Sarnecki.

Дозволено Цензурою, 20 Декабря (1 Января) 1875/6 года.
Druk J. Noskowskiego, MazowieckaNr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski**.